

Autor: Radosław Marciniak
Opublikowane w: Koń Polski nr 2 - 2009

Saharyjskie pustkowia

Listopadowy chłód wdziera się do namiotu. Słysząc postukiwania podkutych końskich kopyt na kamienistym gruncie pustyni, i to zadziwiające porykiwanie osłów. Czas wstawać. Wychodzę ze śpiwora i szybko przebieram się w mój strój jeździecki, a następnie wypelzam z malutkiego jednoosobowego apartamentu „Pod milionem gwiazd”. Gwiazd co prawda już nie widać, gdyż zrobiło się widno, ale wieczorem bezchmurne niebo pokrywała ich niezliczona ilość. O porannym prysznicu, czy kąpeli nie ma mowy. Do toalety kieruję się za niewielkie wzniesienie oddalone o sto może sto pięćdziesiąt kroków od obozu. Dłonie myję niewielką ilością wody z butelki. To słowo „niewielki” jest tu codziennością w odniesieniu do wszystkiego za wyjątkiem przestrzeni, bo ta jest wielka.

Konie uwiązane do pali wbitych w ziemię zaczynają zbierać resztki słomy i siana, jakie zostały im z wieczornego karmienia. Kręcące się w pobliżu osły nie należą do naszej kawalkady. Przyszły w odwiedzin z sąsiedniego, acz niewidocznego obozu nomadów. Odwiedziny miały oczywiście na celu wspólną kolację z naszymi końmi. Rocky – obozowy dozorca, czyli niezbyt duży kundel naszego przewodnika Rabbiego, robił co mógł, aby osły nie wtargnęły do obozu. Zwierzęta jednak ignorowały go całkowicie i to pomimo prób gryzienia, łapania zębami za nogi lub ogon. W skrajnym przypadku z niewzruszoną miną odchodziły kilka kroków dalej. Pies po jakimś czasie dał za wygraną i cztery osły spokojnie konsumowały paszę wspólnie z naszą szóstką ogierów. Ani konie, ani ludzie nie przeganiali ich. Zapewne nie miało to sensu, bo za chwilę uparciuchy i tak by wróciły, no i nie wpłynęłoby to dobrze na stosunki z miejscową ludnością.

Rabbie i Abdul również wychynęli ze swojego namiotu i zaczęli karmienie koni. Konie dostały słomę, na oko 2 kg i następnie tyleż samo siana. Potem w workach zakładanych na łeb, podobnych do tych, z których kiedyś jadały nasze dorożkarskie szkapy, zmielone zboże, skropione wodą, aby nie kurzyło się. Niestety nie udało mi się ustalić rodzaju zboża. Teraz my udajemy się na posiłek. W międzyczasie Samir obozowy kucharz przygotował już skromny posiłek. Gorąca kawa lub herbata, jest też mleko i można zrobić sobie kakao. Do tego specyficzny, płaski chlebek, margaryna, serek topiony i dżem. Smacznie, ale monotennie, bo takie śniadania jemy już piąty raz z rzędu, jako że rozpoczyna się piąty dzień wędrówki. Szybko uwijamy się ze śniadaniem i zabieramy się do czyszczenia koni. Końska, pustynna toaleta niczym nie różni się od tej w Polsce, no może jest nieco mniej dokładna i kurz jest inny, rudy, czerwony, po prostu koloru tutejszej ziemi. Siodłamy. Ogłowia nakładamy na kantary, a uwiązki zawiązujemy na szyi. Siodła klasyczne, a zamiast czapraków podwójnie składane koce. W nieco innym miejscu w Maroku sprawdziłem typowe siodło marokańskie. Było wygodne, a ozdobione kolorowymi czaprakami wyglądało imponująco, w sam raz do zdjęć z turystami na grzbiecie. Do siodła doczepiamy juki i pakujemy nasze drugie śniadanie. Sprzęt jest dość mocno zużyty, ale nie zawodzi. Konie, choć to ogiery, są spokojne. Oczywiście na postojach przywiązujemy je przynajmniej w odległości dwudziestu kroków od siebie, a w czasie marszu zbliżając się ku sobie trzymamy je krótko. Rabbie jest rygorystyczny i pilnuje porządku. Szczególnie pierwszego dnia, niepewny naszych jeździeckich umiejętności, nakazywał marsz „za ogonem” z zachowaniem solidnych odstępów. Cierpliwie go ignorowałem galopując równoległe z nim i samemu zastanawiając się, czy utrzymam konia. Gdyby nie, to i tak przed sobą miałem kilkaset kilometrów równiny – sporo miejsca do zatrzymania. Mój El Baz (po polsku Orzeł) wykazywał dużą chęć do galopu, ale też bez problemu reagował na półparady i posłusznie zwalniał. Niewątpliwie wsparciem w tym zakresie była dźwignia na długich czankach.

Konie to araboberby, jak je tutaj nazywają. Stanowią mieszaninę krwi koni arabskich i lokalnych ras berberyjskich. Niewielkiego wzrostu, około 135-140 cm i wagi zapewne koło

350 – 400 kg maszerowały dzielnie, a nawet ambitnie ściagały się, kiedy im na to pozwalaliśmy wykorzystując mniej kamieniste fragmenty pustyni. Ich okute, małe, wysuszone i powyszczerbiane, ale niepekające kopyta pewnie stawały czy to na miękkim wydmowym piachu, czy na twardym kamienistym gruncie pustyni, który dominował na całej trasie. Zarówno w naszym zastępie, jak i w stajni, z której wyruszyliśmy, występowały tylko dwie maści siwa i kara.

Wyruszamy. Obóz zwinie kucharz z pomocnikiem i całość, wraz z naszymi bagażami, załadują na samochód. Spotkamy się na następnym nocnym postoju. Po kilkunastu minutach marszu przy studni poimy konie. Jest to ta sama studnia, z której korzystaliśmy wieczorem. Tym razem nie jesteśmy sami. Studnia jest okupowana przez osły i stado kóz. Dwie kobiety, zapewne matka z córką wyciągają wodę dla swojego inwentarza. Unikają zdjęć i odchodzą ze stadem.

Konie poiliśmy zawsze rano i wieczorem. Temperatura w dzień wahała się w pobliżu siedemnastu stopni Celsjusza. Wodę czerpaliśmy czasami ze studni, a czasami pozwalaliśmy im pić z rzeki, jeśli oczywiście trafiliśmy na taką, która nie była sucha. Znacznie gorzej jest latem, kiedy temperatura sięga czterdziestu stopni i jeźdźcy muszą poić konie trzy razy dziennie, a bywają problemy ze znalezieniem wody. Wówczas trzeba zmieniać szlak tak, aby częściej trafiać na studnie. Posuwamy się szlakiem, w kierunku gór. Na podłożu widać ślady opon. Wczoraj po płaskowyżu rozniósł się huk silników i minęła nas kawalkada quadów, kilka dni temu widzieliśmy motocyklistów, wszyscy przy koniach grzecznie zwalniali. Pustynia nie jest taka pusta jakby się wydawało. Spotykamy też nomadów pasących swoje stada kóz, lub wielbłądów, ale najczęściej widzimy ich puste domostwa, czyli namioty wykonane z płacht utkanych z wielbłądziej wełny. Czasami widać wielbłądy, samotnie snujące się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Do towarzystwa przyłącza się muł, a właściwie mulica. Maszeruje rażno obok nas próbując coraz bardziej zbliżyć się do któregoś ogiera. Rabbie odpędza ją kilka razy, ale bezskutecznie, w końcu decyduje się na pożyczanie mojego palcata i zwierzak więcej nie wraca. Po ponad trzech godzinach marszu osiągamy góry. Przechodzimy przez wąwóz, w którym odbija się echem stukot kopyt naszych rumaków i wchodzimy do dolinki. Tutaj będzie lunch. Zdejmujemy siodła i ogłowia. Konie przywiązujemy do drzew. Zanim jednak to robimy pozwalamy im się wytarzać. Koce służące za czapraki teraz stają się kocami plażowymi. Posiłek jest standardowy. Ryż z warzywami, do którego wrzucamy sardynki lub tuńczyki z puszki i zagryzamy chlebem. Całość popijamy wodą z butelek, a na deser są owoce, głównie mandarynki, czasami banany. Potem zapadamy w drzemkę. Jednak wiejący wiatr zmusza mnie do założenia kurtki i owinięcia się kocem, na którym leżę. Po półtorej godzinie ruszamy dalej. Kamieniste podłoże przechodzi w skaliste. Posuwamy się pod górę w siodłach. Chwilę później Rabbie daje znak i schodząc w dół prowadzimy nasze konie w rękę. Wyruszyliśmy z Zagory w szóstkę, ale Ludgar zrezygnował po dwóch dniach i samochód odwiózł go do cywilizacji. Teraz maszerujemy więc w piątkę, a szósty koń idzie za nami. Czasami Abdul prowadzi go w rękę, siedząc na swoim koniu, i o dziwo ogiery nie mają nic przeciwko sobie, a czasami koń samodzielnie podąża za nami. Maszeruje osiodłany, w ogłowiu, z wodzami zawiązanymi tak, aby się nie zaplątał. Dochodzimy do skraju przepaści. Wąska ścieżka prowadzi w dół. W dali widać już zabudowania Zagory. Nie mamy jednak ani zamiaru, ani szans dotrzeć tam dzisiaj. Po godzinie jesteśmy znowu na pustynnej równinie. Grunt jest piaszczysty, ale gęsto usłany kamieniami. Do obozu została jeszcze godzina marszu. Konie zaczynają się denerwować i wyrwać do przodu. Nauczeni doświadczeniem poprzednich dni wiemy, iż zbliża się miejsce startu do wyścigowego galopu. Zmienia się też podłoże. Nie ma żadnych większych kamieni. Twardy zbity piach jest zmieszany z drobnymi kamykami, wszelkich przeszkód brak. No i jest tak szeroko, że dwadzieścia koni mogłoby się ściagać. Abdul, z powodu prowadzonego luzaka, niestety nie bierze udziału w tych wyścigach. Ścigamy się więc we czwórkę. Wszystkie poprzednie gonitwy wygrał Rabbie. Nie dość, że był zawodowym dżokejem, to jeszcze po prostu ma najszybszego konia. W trakcie ostatniej

takiej galopady nakręciłem film trzymając aparat w jednej ręce i prowadząc konia drugą, teraz Rabbie postanowił zrobić to samo. Podaję mu aparat. Daje nam sygnał do startu i ruszamy. Dystans do wskazanego krzaka wynosi „na oko” 800 m. Sigrid ma kłopoty ze swoim Kobrą, który zamiast ruszyć do przodu tańczy i cofa się, ale Ronja na Raadzie, ja i Rabbie ruszamy. Tempo dochodzi do około 700. Szlak galopu każdego konia znaczy smuga ciągnącego się za nim kurzu. Nieco przyspieszam. Głuchy odgłos kopyt narasta. Jestem bombardowany piachem i drobnymi kamykami wylatującymi spod kopyt Raaba. Mógłbym odjechać w bok, ale wydłużyłbym trasę. No i El Baz galopując tuż za innym koniem ma dodatkową motywację. W ramach tej motywacji i dla własnej radości krzyczę dziko zrównując się z Ronją i wyprzedzając ją. Rabbie próbując nakręcić film też zostaje z tyłu. Słyszę oddech mojego konia, dobrze, że krzak – meta już blisko. Zwalniam i przechodzę do kłusa, a potem do stępa zataczając koła. Ten wyścig wygrałem ja. Mój ośmioletni El Baz jest szybszy od pozostałych koni nie licząc oczywiście czteroletniego Sisko na którym jeździ Rabbie. Zazwyczaj kończyłem więc gonitwy na drugim miejscu, za wyjątkiem pierwszej, gdy za długo wstrzymywałem rumaka i potem nie starczyło już czasu na odrobienie dystansu. Konie w stępie wyrównują oddech, Rabbie nie pozwala kłusować.

Dalej krajobraz jest monotonny. Mijają kolejne dziesiątki minut, maszerujemy powoli pozwalając koniom obgryzać napotkane krzaki. Oglądamy film nakręcony przez Rabbiego i nie wiele widzimy. Nie tak łatwo jest skierować obiektyw we właściwym kierunku siedząc na grzbiecie pędzącego rumaka. W tej „jeździeckiej dziedzinie” okazałem się więc lepszy od naszego przewodnika. Powoli zapada mrok. Z daleka widać już obóz, ale najpierw kierujemy się do studni. W obozie konie przywiązujemy do drzew i przygotowujemy im paszę, w ilościach podobnych do porannego karmienia. Obóz rozbity, kucharz przygotował posiłek. Krótka toaleta w postaci mycia rąk wodą z kolejnej butelki. Słońce zaszło, robi się ciemno i zimno. Nakładam moją dżelabę. Doskonały strój na lokalną pogodę, ale przez ten strój, kiedy założyłem go pierwszy raz, o mało nie zostałem „zjedzony” przez naszego obozowego dozorcę, czyli Rockiego. Rocky wziął mnie za krajowca. Złapał za róg dżelaby i szarpał się ze mną póki nie został postawiony „do kąta” przez Abdula. Dżelaba okazała się mocna i żadnych strat nie było, tym bardziej, że pies nie dobrał się do moich łydek. Kolacje są obfite. Jako główne danie ryż z mięsem, warzywami i z ... chlebem. Mięsa podają różne od drobiu, przez wołowinę, po baraninę i kozie mięso. Oczywiście nigdy nie podano nam wieprzowiny. Zimne przekąski to orzeszki i ulubione przeze mnie rodzynki, a na deser jak zawsze banany, pomarańcze i mandarynki. Długo rozmawiamy, przy świetle biwakowej lampki gazowej, ale mimo to i tak idziemy spać około dziewiątej wieczorem. Jutro pobudka o siódmej i ostatni dzień marszu. To oznacza, że wieczorem będziemy już w hotelu w Ouarzazate, gdzie dotrzemy z Zagory starym rozklekotanym Mercedesem. Potem nad ranem lot do Casablanki i powrót do kraju, ale wcześniej ... gorący prysznic – wreszcie.